

Żaden żywy organizm nie może na dłuższą metę normalnie funkcjonować w warunkach absolutnego realizmu. Niektórzy utrzymują, że nawet skowronki i koniki polne miewają sny. Dom na Wzgórzu, choć nienormalny, opierał się samotnie o swoje pagórki i tulił ciemność w swym wnętrzu. Stał tak już osiemdziesiąt lat i zapewne stać tak będzie przez następne osiem dziesięcioleci. W środku ściany wznosiły się pionowo do góry, cegły przylegały równo jedna do drugiej, podłogi były w całkiem niezłym stanie, a drzwi – dobrze zamknięte. Pomiędzy drewnem a kamieniami Domu na Wzgórzu zalegała głucha cisza, a to, co po nim chodziło, chodziło samotnie.

Doktor John Montague był doktorem filozofii. Stopień naukowy uzyskał w dziedzinie antropologii, czując niejasno, że pomoże mu to zbliżyć się do właściwego powołania, którym miała być analiza zjawisk nadprzyrodzonych. Bardzo skrupulatnie posługiwał się swoim tytułem, ponieważ badania, które prowadził, były tak całkowicie nienaukowe. Miał nadzieję, że ów tytuł naukowy doda im powagi i powszechnego szacunku, a nawet pewnego naukowego autorytetu.

Wiele kosztowało go wynajęcie na trzy miesiące Domu na Wzgórzu, zarówno biorąc pod uwagę finanse, jak i ze względu na dumę własną, jako że nie należał do osób lubiących żebrać. Liczył jednak na to, że wszystkie jego cierpienia zostaną całkowicie zrekompensowane przez satysfakcję, jaką przyniesie mu publikacja jego ostatecznej pracy dotyczącej przyczyn i skutków metapsychicznych zakłóceń w domu, który powszechnie znany był z tego, że w nim straszło. Całe życie szukał domu, w którym naprawdę straszło. Początkowo, kiedy usłyszał o istnieniu Domu na Wzgórzu, miał pewne wątpliwości, potem przerodziły się one w nieśmiałą nadzieję, a wreszcie zaczął niezmordowanie dążyć do jego wynajęcia, gdyż nie należał do ludzi, którzy łatwo rezygnowali z takiej szansy.

Zamiary doktora Montague względem Domu na Wzgórzu bezpośrednio były związane z metodami nieustraszonych dziewiętnastowiecznych łowców duchów, postanowił on bowiem zamieszkać w Domu na Wzgórzu i przekonać się na własnej skórze, co się tam działo. Z początku myślał, żeby naśladować pewną anonimową damę, która zamieszkała w posiadłości Ballechin i urządziła tam latem zabawy dla wierzących i sceptyków, włącznie z krokietem i obserwacją duchów jako czołową atrakcją sezonu. Jednakże dzisiaj zarówno wierzący, jak i sceptycy, a także zwolennicy gry w krokieta, należą już do rzadkości. Doktor Montague był zatem zmuszony zatrudnić asystentów. Być może powolny tryb życia w epoce wiktoriańskiej bardziej sprzyjał metodom stosowanym podówczas do badań nad zjawiskami metapsychicznymi albo też drobiazgowa dokumentacja tych zjawisk przestała być głównym dowodem stosowanym do orzekania autentyczności tychże zjawisk, w każdym razie doktor Montague nie tylko został zmuszony do zatrudnienia pomocników, ale na dodatek musiał ich najpierw znaleźć.

W związku z tym, że uważał się za człowieka wyjątkowo skrupulatnego, poszukiwanie asystentów zajęło mu sporo czasu. Starannie przecesał rejestry towarzystw metapsychicznych, ostatnie szpały wszystkich sensacyjnych czasopism oraz sprawozdania parapsychologów i zebrał pokaźną listę ludzi, którzy w taki czy inny sposób – nieważne kiedy, jak długo czy nawet jak podejrzanie – związani byli z jakimiś anormalnymi wydarzeniami. Z listy tej wyeliminował najpierw nazwiska osób zmarłych. Kiedy poskreślał

również nazwiska tych, którzy wydawali mu się żądni rozgłosu, cofnięci w rozwoju umysłowym czy też niepożądani z powodu wyraźnej tendencji do zajmowania centralnej pozycji na scenie, pozostało mu około tuzina kandydatów. Każda z tych osób dostała od doktora Montague list z zaproszeniem do spędzenia całego lub też części lata w wygodnej wiejskiej rezydencji, nieco starej, lecz doskonale wyposażonej w kanalizację, elektryczność i centralne ogrzewanie oraz czyste materace. W liście wyraźnie określony był cel pobytu – obserwacja i sprawdzanie prawdziwości różnych nieprzyjemnych opowieści, jakie krążyły na temat tego domu przez większą część jego osiemdziesięcioletniej egzystencji. Doktor Montague nie stwierdzał otwarcie, że w Domu na Wzgórzu straszło, gdyż będąc człowiekiem nauki, nie chciał za bardzo zawierzać swemu szczęściu, dopóki sam na własnej skórze nie doświadczy w nim jakichś metapsychicznych manifestacji. W związku z tym jego listy cechowało pewne dwuznaczne dostojeństwo obliczone na rozbudzenie wyobraźni specjalnego rodzaju czytelnika. Na tuzin wysłanych listów doktor Montague uzyskał jedynie cztery odpowiedzi. Pozostałych ośmiu kandydatów przypuszczalnie wyprowadziło się, nie pozostawiając nowego adresu, albo też utraciło wszelkie zainteresowanie paranormalną rzeczywistością, a może po prostu nigdy nie istniało. Do owej czwórki, która mu odpisała, doktor Montague napisał ponownie, wyznaczając dzień, w którym dom będzie oficjalnie gotowy do zamieszkania, i załączając dokładne wskazówki dotyczące dotarcia do niego, gdyż – jak był zmuszony wyjaśnić – trudno było uzyskać jakiegokolwiek informacje na temat położenia domu, zwłaszcza od otaczającej go wiejskiej ludności. W dniu wyjazdu do Domu na Wzgórzu doktor Montague dał się przekonać, aby włączyć do grona swego wysoce wyselekcjonowanego towarzystwa przedstawiciela rodziny, która była właścicielem domu. Otrzymał również telegram od jednego z kandydatów, który nagle się wycofał pod najwyraźniej wymyślonym naprędce pretekstem. Inny znów ani nie przyjechał, ani nie napisał – być może z jakichś ważnych osobistych powodów. Pozostałych dwóch stawiło się.